

Proces

(historia nr 1.26 w serii książek Aimeiz, aimeiz.pl)

Dzieciaki wstrzymywały oddechy, wpatrzone w pokaz jak w kosz pełen słodyczy i tylko czekały, aż budowana z cienkich, metalowych pręcików wieża rozsypie się, oddając im rację i powód do śmiechów. Ta jednak uporczywie stała, nienaturalnie przechylona i trzymana w całości niewidzialną siłą, której młode oczy, nauczone rzeczy prostotą, nie dostrzegały. Kolejny błyszczący patyczek zawisł niemalże w powietrzu, wyginając konstrukcję w łuk, a usta dzieci w kształt litery „o”. Chłopcy, poruszeni tym oczywistym oszustwem, zaczęli protestować, a dziewczynki głośno chichotać. Wszyscy mieli po sześć lat i należeli do trzydziestej trzeciej grupy Fantamona. Fantamon był najprawdziwszym pawiem z długim, kolorowym ogonem, pochłaniającym uwagę jak woda piach, dlatego teraz siedział zamknięty w ptasim ogrodzie, by nie rozpraszać uczniów swym majestatycznym wachlarzem. I jeszcze jeden patyczek zawisł na wieży, wzbudzając krzyk i piski oburzonych tą tanią sztuczką dzieciaków.

– Rekreujesz! – zawołał jeden z chłopców.

– To oszukaństwo! – dodał jego kolega, podnosząc się na kolanach, by zyskanym wzrostem wzmocnić siłę argumentu.

– Nie, nie, nie, to nie rekreacja – zaprzeczła Aimeiz. – Widzisz, Kamin, to nieważne, jak krzywa może wydawać się konstrukcja. Jeśli środek masy jest zachowany, nie runie – wyjaśniła, okraszając wiedzę uroczym uśmiechem. Właśnie prowadziła zajęcia szkolne na polanie, niedaleko okrętowego jeziora. By lepiej zademonstrować prawa fizyki, wyrosła nad dzieci, stając na jednej nodze. Drugą wyciągnęła do tyłu i rozłożyła ręce, jak gdyby udawała samolot.

Dziś była krótko ścięta na chłopczycę i ubrana w stylu Audrey Hepburn w długą za kolana, pofałdowaną spódnicę w jasnoniebieskim kolorze z podkreślającym talię pasem. Miała też luźną białą koszulę z wciętym rękawem. Każdego ranka odtwarzała inny styl, wertując archiwum garderoby człowieka, od czarnych jak sadz, wiktoriańskich sukni, z których szybko zrezygnowała z uwagi na niewielką ich wygodę, po eksperymentalne trendy odzieży elektronicznej sprzed Kryzysu Słonecznego. Takie miała hobby i nie przejmowała się codzienną porcją rozbawienia na ustach mieszkańców. W tej zabawie nigdy nie zmieniała jednak swoich cech fizycznych, poza włosami, bo te rosły zbyt wolno, jak sama mówiła, by czekać miesiącami na nową fryzurę. Z tego powodu dziś miała urokliwą, krótką grzywkę, a jutro mogła uwodzić już długim warkoczem. Za tę nieprzewidywalność, lekkość bycia, nieugięty humor, a także wieczorne czytanie bajek była przez dzieci ubóstwiana, dlatego teraz, bez oporów i bez wyjątków, wszystkie ją naśladowały, próbując wyginać ciała w samoloty, śmiechem nagradzając tych, którzy rozbijali się na trawie.

Szczęśliwi i żądni wiedzy uczniowie nie rozumieli konfliktu, jaki od kilku dni pożerał społeczność i trawił przez lata budowany spokój. Po blisko trzech dekadach spędzonych na Ziemi Tasajev powrócił na okręt z wyhodowaną w sercu wiarą, że z pomocą Aimeiz zdoła zgładzić Andersa, siły DARPA i całe zło duszące planetę. Od realizacji tego planu dzielili go tylko protestujący mieszkańcy, w jego oczach dezterterzy i tchórze, niegodni luksusów obcej technologii. Kolejnym zarzewiem sporu była postać Nihama Santego, oskarżonego o zdradę i więzionego przez rebeliantów w zagarniętej przez nich siłą części statku. Uzbrojeni w klasyczną broń palną ze sporym zapasem nienawiści, liczeni w tysiącach, wspierani przez Amadystów na prostej drodze do odwetu, terroryzowali ludzi i nie mieli szacunku dla demokratycznej tradycji głosowań Panelu.

– Pora na karmienie zwierzaków! – ogłosiła Aimeiz i złożyła przed sobą dłonie, by ukłonić się z godnością, jak buddyjski mnich. – Tania już na was czeka przy ogrodzie. Bądźcie czujni i idźcie bezpiecznie – życzyła im szczęśliwej drogi, na co dzieci odpowiedziały odtworzonym z wielką precyzją i uwagą pokłonem, na chwilę ucinając zabawy, wrzaski i śmiechy. Potem wystrzeliły, każde jak z procy, otoczone chmurą pisków, krzyków i ogólnej wesołości. – Mielście iść – cicho rzekła dziewczyna, z wyrozumiałością ustępując huraganowi młodzieńczej energii. Potem sfrunęła na trawę i siedząc po turecku, cierpliwie wyczekiwała lidera rebeliantów.

Tasajev Krotksy miał pięćdziesiąt pięć lat i wypisane na twarzy ostrzeżenie, by nie wchodzić mu w drogę. Splamiony krwią wroga, odznaczony w boju wieloma bliznami, dumny z poszarpanego zielonego munduru bez mrugnienia mógł w każdej chwili oddać życie za sprawę. Z tej desperacji płynęło szaleństwo, z niego odwaga, a z niej dominacja podkreślona bujnym zarostem, gęstymi włosami i przegniłymi zębami. Czerwony błysk sztucznych oczu dopełniał obrazu obłąkanego terrorysty, zbrodniarza, przywódcy.

– Wzywałem cię – powiedział, siadając na trawie tuż przed dziewczyną. Jego ruchy były zmęczone, nieco ociężałe, jakby wszystko co robił, robił wbrew sobie.

– Miałam zajęcia z dziećmi.

– Tak wiem, uczysz ich magii i malowania zamiast prawdy i sztuk walki – stwierdził Tasajev i położył rękę na pistolecie przypiętym do pasa. Na Ziemi tylko taką, archaiczną bronią dysponował przeciwko cyborgom DARPA uzbrojonym w karabiny impulsowe zdolne w jednej chwili ugotować człowieka jak jajko. Mimo to wydobyty z muzeów arsenał pozwolił jemu i jego ludziom przetrwać, a na okręcie doskonale nadawał się do straszenia mieszkańców, którzy dawno już nie słyszeli huku wystrzału.

– Uczę ich zgodnie z programem edukacyjnym – oficjalnie rzekła Aimeiz, niewzruszona jego barbarzyńską prezencją.

– Wyglądasz komicznie – stwierdził Tasajev i zmierzył ją wzrokiem od skłębionej wokół pasa spódnicy po zapiętą pod szyję koszulę z kołnierzykiem. – I do tego niepoważnie. Co z ciebie za sztuczna inteligencja? – zapytał wzgardliwie.

Aimeiz rozpostarła skrzydła niewinnego uśmiechu, nietknięta komentarzem i nieprzejęta skanującym ją krwistym spojrzeniem mężczyzny, w którego głowie, jak lawa z morską wodą, spienione walczyły dwie tak ludzkie żądze.

– Mogłabym przywrócić ci normalny wzrok – zaproponowała gotowa spełnić jego marzenie.

Teraz on odsłonił poszczerbiony mur zębów i złośliwym milczeniem zignorował ofertę, a potem rozejrzał się wokół i pokiwał z podziwu głową.

– Gdybyśmy mieli takie gęste lasy na Ziemi – zaczął, spluwając przez ramię flegmą – moglibyśmy się w nich chować przed DARPA. Teraz Ziemia to pustynia i poza gruzami miast czeka tylko śmierć. Rozumiesz? – zapytał, nie oczekując odpowiedzi. – Byłaś w pobliżu naszej planety, na pewno widziałaś, jak wygląda. To jedna, wielka umierająca pustynia. Nie to, co tu. Spokój, cisza, lasy, jezioro – wymieniał, spoglądając za siebie w stronę zbiornika. – Istna sielanka, normalnie kurort wakacyjny. Wiesz, co to wakacje? – znów agresywnie zapytał, mając świadomość, że Aimeiz ma dostęp do całej wiedzy ludzkości, również tej zamkniętej w głowach ludzi. – Wakacje, kiedyś mieliśmy takie coś, mówię ci, piękna rzecz. Gdy byłem mały, jeździłem po różnych kurortach i plażach, było miło, ale potem zabili mi rodzinę i się skończyło – zgryźliwie smęcił, każdym słowem próbując szydzić z Aimeiz i z tego, co ludzie osiągnęli na jej pokładzie. – Cóż, tak zmienia człowieka pobyt na Ziemi. Parę lat w gnoju, okopach, gruzach, wśród konających przyjaciół i parszywych zdrajców i człowiek przestaje dostrzegać piękno natury – zaplatał zdania w cierniową dla siebie koronę, a ona słuchała uśmiechnięta, wyprostowana, siedząc po turecku, jak kwiat wchłaniając lekkość dnia. – Pewnie czytasz mi w myślach, co? – zapytał poirytowany ciszą i słodką potulnością dziewczyny, która w odpowiedzi tylko przytaknęła lekko głową, strzepując z równo przyszytych grzywki niewinności urok. – To wiesz, jaki jest mój cel i jaki mam plan, a mimo to pozwalasz mi go realizować. Nie rozumiem, dlaczego mnie po prostu nie zabijesz? – zdziwił się Tasajev, zaciskając mocniej dłoń na uchwycie pistoletu.

– Nie muszę tego robić, bo wiem, że ci się nie powiedzie – zdradziła Aimeiz.

– Czyli mogę robić wszystko, co zechcę?

– Tak jak mówiłam, nie będę ingerować w wasze konflikty – po raz kolejny powtórzyła przyjęte stanowisko. – Obiecałam to mieszkańcom i zamierzam dotrzymać słowa.

– Nawet jeśli zechcę go rozstrzelać?

– Zrobisz to, co uznasz za stosowne.

– W takim razie zdrajcy winni ponieść karę – orzekł wyrokiem sądu Tasajev i dodał z obrzydzeniem: – Skurwiel wykorzystał mnie, ale dziś za to zapłaci.

– Zemsta – Aimeiz powiedziała tak, jakby sama zaprojektowała tę najbardziej ludzką z potrzeb. – Córka sprawiedliwości, bliźniacza siostra pożądania.

– Mam do niej pełne prawo. Czyli nie będziesz się wtrącać, wiedzmo?

– Czy muszę się znów powtarzać? – zapytała Aimeiz, marszcząc słodko brwi z zażenowania.

– A jak będę chciał rozszerzyć oskarżenie? Wziąć pod sąd innych mieszkańców? – Tasajev badał granicę jej neutralności. – Wielu z nich to dezertery, uciekinierzy z planety. Mam zamiar oczyścić ten okręt ze zdrajców, zwłaszcza tych, którzy przynależeli przed odlotem do grup rządzących.

– Znasz moją odpowiedź.

– Tylko, że ja nie uznaję kary innej niż śmierć. To nie problem? – zapytał już niemal dla zabawy Tasajev, lekceważąc jej mroźne spojrzenie. – Czyli mogę zabić kogo chcę? Za co chcę? A gdybym tak chciał zabijać dla rozrywki, żeby poćwiczyć celność? Pozwolisz mi? – prowokował, wyciągając z kabury pistolet.

Aimeiz nie zareagowała i nawet nie drgnęła, gdy obok zabłysła srebrna broń. Tylko patrzyła, wyrwana z obiegu czasu, jak oko kamery pochłaniając światło bez emocji i osądów.

– A jakbym ustrzelił tego psa? – postawił hipotetyczne pytanie Tasajev, z premedytacją celując w hasające za plecami dziewczyny zwierzę. – To co? – ze złowieszczym uśmiechem naciskał, prawie dotykając jej skroni metalem lufy. – Nie zareagujesz? – Muskał palcem spust.

Ona wciąż milczała, tkwiąc nieruchomo.

– Może nie lubisz psów? – poszukał w niej słabości Tasajev. – A dzieci lubisz? – zapytał i nagle zmienił cel. Zbliżył policzek do ramienia, wyprostował rękę, drugą dłonią podpierając uchwyt pistoletu, namierzył bawiącą się ze swoim pupilem uczennicę i na chwilę zamarł, spoglądając w oczy Aimeiz. Gdy nie dostrzegł w nich cienia sprzeciwu, wybuchnął tęgim śmiechem. – Nie zareagowałabyś i oboje wiemy, dlaczego – stwierdził i schował broń do kabury.

– Rozczarowałeś się – tknęła go słowem jak puchem Aimeiz, niewzruszona pokazem siły. – A wszystko zaczęło się od Błękitnej rewolucji. Wierzyłeś, że dla pięknej idei warto walczyć, nawet zabijać. Robiłeś to, a potem zrozumiałeś, że zostałeś wykorzystany, dlatego zmieniłeś o mnie zdanie i zająłeś się ewakuacją ludzi, znów wierząc, że znalazłeś dla siebie idealne miejsce – powiedziała, a on słuchał, niczym skała pewny, że żaden napór jej słów nim nie zachwieje. – Świat jednak z każdym dniem gnił – ciągnęła, w czerń odziewając głos i nasycając powietrze rozczarowaniem wyssanym prosto z jego serca. – Prawda nie wydawała się już tak przejrzysta. Ludzie ginęli, ale nic się nie zmieniało, upadek postępował, a wraz z nim narastała brutalność – wzburzonym tonem oskarżała winnych tego stanu rzeczy, rozpruwając od gniewu napęczniałą w nim duszę i przez chwilę kąpiąc się w żółci wypelzającego zła. – Coraz więcej mordów, bezsensownych egzekucji, coraz okrutniejsze metody terroryzmu, coraz okropniejsze represje władz, a ty wciąż, jak w przeklętym kręgu, im bardziej chciałeś się z tego wyrwać, tym mocniej grzęzłeś w zbrodniach – przemawiała, a tembr jej głosu pogrzmiwał pragnieniem sprawiedliwości. – W końcu spotkałeś Sesanę i jej brata. Twoja wiara, jak Feniks z popiołów, powstała wraz z ostatnim aktem dobroci, jakiego na Ziemi dokonaleś. Ocaliłeś ich, dałeś im własny okręt, wysłałeś tutaj, a za karę trafiłeś do niewoli – rzekła i zamilkła przepełniona współczuciem. – Uratowałeś ich i nawet nie wiesz, że znów zostałeś wykorzystany – dodała, wyciągając w jego stronę ubolewające dłonie.

– Co? – wykrztusił półprzyciemnie Tasajev i odchylił się, unikając jej dotyku.

– Amerykanie cię oszukali, wykorzystali, zdradzili – mówiła Aimeiz, wciąż oferując mu ukojenie w swym namacalnym akcie dobroci. – Oni chcieli, by Sesana sprowadziła tu brata, bo odkryli obcą technologię pierwotnie stworzoną do kontaktu ze mną, z której bezmyślnie zrobili broń, myśląc, że ta zniszczy okręt. Nie mogli jednak zdradzić im swojego planu, więc wykorzystali ciebie.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Tak – wyszeptwała, palcami muskając jego rozdrażnioną twarz. – Złapali cię i skrzywdzili w sposób, którego sobie nie wyobrażałeś – wzbudziła w nim wspomnienia i podniosła się na kolanach, osłaniając go czułością, jak matka dziecko. Była gotowa wziąć na swoje barki cały miazdzący mu serce ciężar, spędzić za niego wieczność w katogach, spłonąć białym płomieniem, by tylko zabłysnąć przed nim nadzieją.

– Przestań! – krzyknął Tasajev i stracił oddech, zduszony pożądaniem jej uleczonego samotność dotyku.

Jak korzenie drzewa, palce dziewczyny zapuszczały się w jego brodę i przenikały ciepłem słodkiego uzależnienia do krwiobiegu. Oślepiająca ekstaza pochłaniała mu zmysły, a umysł droczyła wizja nieskazitelnej miłości, idealnej, niczym wymarzona, nigdy niezrealizowana przez niego rewolucja. – To nie były zwykłe tortury, o nie – Aimeiz szeptała kolejne słowa przesiąknięte wyrwaną mu ze wspomnień rozpaczą. – O biciu byś już dziś nie pamiętał, drwiłbyś z tego. Oni zrobili coś dużo, dużo bardziej okropnego – kontynuowała, zbliżając czerwienią pulsujące usta do jego przerażonej twarzy. – Oni cię skrzywdzili, wykorzystali, zabrali to, czego nie mogłeś im dać.

– Przestań – ostatkiem wolnej woli wykrztusił Tasajev, sparaliżowany od szyi w dół i zatruty odkładającym się we krwi ołowianym lękiem. Lecz to nie strach więził go w miejscu, tylko falująca czerwien ust Aimeiz, tajemnicza perfekcja konturów oczu dziewczyny, obłędna miękkość słodkich jej piersi i scalająca w nim wszystkie zmysłów żądze wieczna tęsknota za wyzbytymi wyuzdania pieścotami.

– Krzyczałeś, prosiłeś, wołałeś o pomoc – wciąż szeptała, czując jego płytki, rwany oddech na twarzy. Leniwie, bez pośpiechu, zatapiając w lodzie czas, zbliżyła usta do popękanych warg Tasajeva i musnęła je niewinnym, przelotnym pocałunkiem, mówiąc: – Ale twoje usta też wykorzystali. – Odsunęła się odrobinię, przyjaźnie uśmiechnęła i dodała już zwyczajnym głosem: – Gdyby wyszło na jaw, że zęby też masz sztuczne, ludzie mogliby zacząć zadawać pytania.

– Giń! – ryknął Tasajev, jak bestia rozpruwana szabłą, i wypalił w jej brzuch z pistoletu, który od dłuższej chwili nieświadomie trzymał w miotanej drgawkami dłoni.

– Chciałbyś mnie zabić? Zemścić się na mnie? – pytała Aimeiz, wciąż trzymając jego twarz w uścisku.

– Zostaw mnie! – zawył Tasajev, wpatrzony wielkimi oczyma w pulsującą na brzuchu dziewczyny ranę i lejącą się z niej wodospadem krew, którą biała koszula łapczywie piła.

– Ona też tak krzyczała – gniewnie stwierdziła Aimeiz. – Puść mnie! Zostaw mnie! – naśladowała wołania niewinnej ofiary.

– Nie, nie! – błagał Tasajev zatrzaśnięty w uścisku jej dłoni, jak bawełna miękkich i jak beton sztywnych.

Szarpał się, całym ciałem miotając na boki, nogami kopiąc ziemię, ale wciąż jego głowa tkwiła w miejscu, nawet o milimetr nie zmieniając położenia w przestrzeni.

– A może chciałbyś mnie zgwałcić? – zapytała z mroczną ekscytacją Aimeiz. – Jak tę młodą dziewczynę? Pamiętasz ją jeszcze, jej martwe ciało? – dociekała, oglądając z każdej strony twarz Tasajewa, jakby była zakonserwowanym w formalinie eksponatem. Wzrokiem, niczym kamiennym dłutem, skuwała kolejne płyty chroniącego go kłamstwa. – Co mówisz? – zapytała, przystawiając mu do ust ucho. – Kochałeś ją, tak? – odczytywała słowa z szemrania warg. – Przecież ty nie potrafisz kochać – syknęła szyderstwem, jak solą w ranę, i przechylała jego głowę, by mógł dostrzec kałużę krwi, w której oboje tonęli. – To może ja urwę ci ten łeb – z wielkim uśmiechem na ustach zaproponowała i puściła go, gdy kolejne kule przeszły jej brzuch.

Tasajew upadł na plecy i krzycząc, strzelając, wyładowując w nią cały magazynek. Gdy naboje się skończyły, nadal naciskał spust, aż w końcu przejrzał swoją niepoczytalność i jęknął na widok bladej twarzy dziewczyny.

Oczy miała załzawione, niedowierzające okrucieństwu, na jakie została skazana, a dłońmi próbowała uciskać liczne rany, z których krew lała się, jak przez sito przenikając bezbarwne roztrzęsione palce. Walczyła o życie, jednocześnie oplakując nadchodzącą śmierć. Kolejne łzy spływały po jej śnieżnych policzkach, skapując w kałużę krwi, gdzie bezsilnie opadła, siadając na własnych stopach. Z każdym, coraz cenniejszym tchnieniem na nowo wskrzeszała wolę, by odmówić chłodnej ziemi kuszącej propozycji wiecznego snu. Skulona, pochylając głowę do przesiąkniętych czerwienią ud, obejmowała ramionami brzuch, próbując zatrzymać potok ciepła wypływający z poszarpanego kulami ciała.

– Zabiłeś mnie... – łkała i trzęsła się z zimna. – Zabiłeś... – szeptała, a jej głos powoli mętniał mrokiem i marniał duszony całunem ciszy.

Tasajew wstał, sztywny w stawach, zagubiony w koordynacji swoich kończyn, a potem wypaczonym krokiem podszedł do niej, złękniony i przerażony zawinioną zbrodnią. – Nic... – próbował mówić, zacinając zdanie parszywym skrzekiem. – Nic ci... nie jest? – zdołał zapytać, ze słowami wypluwając resztki odwagi. Ostrożnie klęknął przy skulonej w kłębek dziewczynie i koniuszkami palców podważył jej podbródek, sprawiając, że bezwiednie opadła na plecy, jak kamień z impetem lądując w kałużę własnej krwi, martwa. Niczym rybackie sieci, długie i rozłożyste włosy Aimeiz zanurzyły się w czerwonej toni, a mętna, lodowa tafla jej oczu zawracała bez życia światło.

Tasajew jęknął z przerażenia i zawiesił nad sztywnym ciałem dziewczyny spalone okrucieństwem ręce, waząc w nich własną nikczemność. Na palcach poczuł pieczenie i zobaczył czarną na kciuku płamę, a gdy spojrzął w niebo, upadł na plecy i wydarł z gardła niemy krzyk.

Tam, gdzie niedawno płynęły błękitne chmury, teraz pęczniała mroczna maź, pożerając sufit, jak plaga szarańczy. Smolista ciecz spadała martwym deszczem na trawy i lasy, paląc je, topiąc i obracając w strumyki brei, które wzbierały, wzmagaly, przybierały rzeką, oceanem, połykając wszystko, nawet światło. Okręt zawył w agonii, rozpruwany czernią, zapadając się w siebie i zostawiając Tasajewa otoczonego niewielką bańką konającego blasku, gdzie ciało dziewczyny, wciąż piękne i młode, jak we śnie leżało spokojem utulone, skąpane w jaskrawej czerwieni. Otchłań przeżarła ściany i odsłoniła oskarżające spojrzenia gwiazd, a potem zabrała mężczyźnie grunt pod stopami i wystawiła go na bezkres srogiej obojętności wszechświata.

– Aimeiz! – zawołała sześciolatka Filiana, mijając sennymi drgawkami miotaną figurę Tasajewa. – Tania kazała spytać cię, czy możemy teraz pograć w grapki?

– Hmm... – z palcem na ustach rozmyślała Aimeiz. Nie miała już śladu krwi na sobie i znów siedziała na trawie, cała, zdrowa, z krótkimi włosami i uradowana obecnością swojej uczennicy. – Myślę, że jak najbardziej zasłużyliście. Przekaż Tani, że tak wspaniałym dzieciakom należy się chwila zabawy – powiedziała, nigdy nie szczędząc im pochwał.

Dziewczynka aż podskoczyła z radości i pobiegła z powrotem w stronę ptasiego ogrodu zanieść pozostałym dobrą nowinę.

– Nic ci nie jest? – z chichotem zapytała Aimeiz, ale Tasajew nie odpowiadał, tylko siedział z twarzą w roztrzęsionych, czystych od czarnej mazi dłoniach. – Przesadziłam? – Przygryzła z zawstydenia wargi. – Chyba przesadziłam – sama sobie odpowiedziała i przysunęła się bliżej, gotowa wyściskać go na przeprosiny.

– Zostaw mnie! – Tasajew ryknął, szarpiąc za pustą u pasa kaburę.

– Spokojnie, tylko droczyłam się z twoim umysłem. Przepraszam, jeśli przesadziłam.

– Droczyłaś się... – cedził słowa lider rebeliantów.

– Droczyłam!

– Rozumiem.

– Na pewno?

– Nie da się ciebie zabić. Teraz już wiem – wymamrotał, odzyskując stabilność emocji.

– Wszyscy to wiecie, ale nie przestajecie próbować – ze znużeniem jęknęła Aimeiz, podnosząc i podając mu upuszczoną wcześniej broń.

– W każdym razie – mówił Tasajev, próbując stanąć na dwóch nóg sprężynach – odebrałem przesłanie i rozumiem już, że mam z tobą nie zadzierać.

– Nie, nie, nie – zaprzeczała dziewczyna – nie ze mną, z dziećmi – powiedziała, wyraźnie podkreślając ostrzeżenie.

– Rozumiem.

– To dobrze. Dzieci zostały przekazane mi pod opiekę i nie pozwolę ci ich skrzywdzić.

– Rozumiem – powtarzał Tasajev, jak uczeń przed tablicą w klasie. – Dzieci nas nie interesują, tylko zdrajcy – dodał, nieświadomie robiąc krok w tył, odpychany baczny jej spojrzeniem.

– Cieszę się, że to rozumiesz – z uśmiechem stwierdziła Aimeiz, znów niewinna, słodka i niegroźna.

– Naprawdę jesteś czarownicą. Bawisz się życiem jak zabawkami.

– To nie ja chcę zabić Nihama.

– Możesz mi wierzyć, że nie zależy mi na zabijaniu. Sante będzie miał proces, w którym wysłuchamy jego wymówek i osądzimy, a wszystko będzie zgodnie z prawem.

– Czym prawem? – zapytała.

– Prawem tych, którzy polegli na Ziemi. On zginie, bo jak nikt inny na to zasłużył, a jeśli ci się to nie podoba, możesz mnie zabić.

– Mówiłam ci, że tego nie zrobię.

– W takim razie pora na proces – stwierdził Tasajev i wyszczerzył żółte zęby, w jednej chwili znów błędąc na widok czarnej kropki spływającej po jej policzku. Nie zgrywając odważnego, odwrócił się i uciekł, deptając butami w gęstej trawie, w którą krew przecież powinna była wsiąknąć.

Niham zwiesił głowę, jakby losu ciężar zdołał w końcu złamać mu kark, i z tęsknotą wyczekiwał ostatniego ciosu, który zakończy ten żalony żywot. Zgarbiony, z rękami na kolanach siedział pod ścianą niewielkiej sali w nowej sekcji mieszkalnej okrętu, zajętej przez rebeliantów bez niczyjej zgody. Był pilnowany przez dwóch, ubranych w brudne mundury, młodych mężczyzn gotowych samą nienawiścią w oczach rozszarpać go tu i teraz. W rękach z dumą dzierżyli archaiczną broń palną, zdobytą jeszcze na Ziemi. Traktowali ją jak atrybut swojej władzy i kawałek metalu oddzielający bohaterów od rzeszy tchórzów i zdrajców. Tasajev nazywał ich żołnierzami, ale z wojskiem nie mieli nic wspólnego, poza gotowością oddania życia za sprawę i umiejętnością stania na baczność.

W sali, gdzie nie było jeszcze żadnego wyposażenia, na zabranych z własnych okrętów krzesłach siedziało kilku starszych, zaprawionych w boju weteranów, będących widownią procesu Nihama, jego ławą oskarżycieli, sędziami, ofiarami i katami jednocześnie. Tak jak Tasajev, porastali zbędnym zarostem, cuchnęli odorem nienawiści i w milczeniu pozwalali żołądkom burzyć głodem zemsty. Wokół nich rosły góry śmieci, brudów, resztek jedzenia, w powietrzu wisiał smród stęchlizny i dawno uzgodnionego wspólnie werdyktu. W końcu sali stało jeszcze kilku uzbrojonych mężczyzn, a wszyscy w milczeniu chłostali Nihama pogardliwymi spojrzeniami.

Najpierw pojawił się Tasajev z dwoma ochroniarzami, a niedługo po nim weszły Sesana i Wilsta Rebenam. Tylko one miały odwagę przyjść na tę prowizoryczną rozprawę, która podobno była otwarta dla wszystkich. Po ostatnich zajściach nikt jednak nie wierzył tym zapewnieniom i z daleka omijał zasiedloną przez terrorystów część okrętu. Poza tym postać Nihama nie wywoływała żadnych pozytywnych czy negatywnych skojarzeń w głowach mieszkańców i tak jak legendy o pierwszej zaginionej wyprawie ludzi na Aimeiz budziła jedynie nikłą ciekawość. Zapomniany i rzucony na pastwę rebeliantów, tylko w sercu Sesany miał jeszcze dla siebie mały, ciepły kąt.

– Co wyście mu zrobili?! – krzyknęła jedyna przyjaciółka Nihama na widok posiniaczonej jego twarzy. – Torturowaliście go? – zapytała, nie dowierzając własnym oczom. Rozsierzona przywiezioną z Ziemi brutalnością klęknęła przy byłym liderze, syntetyczną dłonią dotykając jego policzka. – Jesteście potworami – oskarżyła zebranych w sali rebeliantów.

– Uspokój się – powiedział Tasajev. – Nic mu nie jest.

– Panie Krotsky – weszła mu w drogę Wilsta. – Rozumiem pana chęć ukarania go za czyny, które uważa pan za szkodliwe...

– Siadaj – lider ukrócił jej bohaterskie zapędy, dając do zrozumienia, że nie ma zamiaru wysłuchiwać żadnych uwag. Wskazał kobiecie miejsce w końcu sali i odprowadził ją sztucznym wzrokiem, gotowy zdławić każdy przejaw oporu.

– Idą – zgłosił jeden z żołnierzy przy drzwiach. – Ma czterech obstawy – dodał, odsuwając się, by Hadrian i jego ludzie mogli wejść do środka. Oni też byli uzbrojeni, ale w nowocześniejszą impulsową broń,

do niedawna zamkniętą w zbrojowni okrętu. Stając tuż za progiem drzwi, wypełnili pomieszczenie aurą wyczekiwania na nieuniknioną konfrontację, której prococtwo wisiało w powietrzu niczym śmierdząca stęchlizną mgła unoszona okrzepłym powietrzem.

– Niech opuści broń – powiedział Hadrian, wskazując celującego w nich żołnierza w końcu sali.

– Obiecałem rozejm na czas procesu – oznajmił Tasajev, gestem dłoni nakazując swojemu człowiekowi, by ustąpił – słowa dotrzymam – dopowiedział i zaprosił zamaszystym, w oczywisty sposób obraźliwym, ukłonem lidera Aimeiz do środka.

– Twoje obietnice są nic niewarte, to już wiemy, dlatego postoiimy przy wyjściu.

– Mówisz, że jestem kłamcą? – zapytał Tasajev, elektryzując atmosferę do granicy wybuchu.

– Mówię, że nie można ci ufać. Obiecywałeś nam różne rzeczy, w tym to, że nie będziesz nas atakował. Jednak wczoraj chyba o tym zapomniałeś – wspomniał Hadrian, niebezpiecznie balansując na granicy eksplozji.

Lider rebeliantów parsknął śmiechem, obracając ostatnie zajście, o którym mówił Hadrian, w żart.

– Przecież nikt nie zginął, to w czym problem? – zdziwił się, szukając poklasku wśród weteranów rozsadzonych tuż obok w rządki.

– Wystarczy mi wiedza, że do nas strzelaliście.

– Nie, nie, to wy strzelaliście do nas. Myśmy się bronili.

– Dobrze wiesz, że to nieprawda.

– I co mi zrobisz? – zapytał Tasajev, sycząc jadem, który zalewał podłogę i trzymał wszystkich na palcach.

Hadrian odpuścił, bo rozumiał, że napędzane przez rebeliantów wahadło oskarżeń mogło skończyć się tylko jednym: rozlewem krwi i w konsekwencji regularną wojną. Jako lider nie miał dużego doświadczenia z terroryzmem, ale był wystarczająco bystry, by umiejętnie odczytywać tendencje i intencje ukryte pod płaszczem wydarzeń.

– Przepraszam! – zawołała Aimeiz zza pleców blokujących wejście mężczyzn. – Chciałabym przejść – poprosiła i jak motyl, zwiewnie wleciała do środka, prześlizgując się między barkami o głowę wyższych ochroniarzy Hadriana. Przyniosła ze sobą trochę świeżego powietrza i kolorytu. Od razu ruszyła na koniec sali, gdzie usiadła na wolnym krześle obok Wilsty Rebenaum i grzecznie wyczekiwała procesu.

– Przyszłaś przeszkadzać? – zapytał Tasajev.

– Będę tylko obserwowała – zapewniła Aimeiz i pokazała palcem Hadriana, by zrzucić z siebie ciekawskie spojrzenia. – Lider chciałby coś powiedzieć – zauważyła, starając się wyglądać tak nieciekawie, jak to tylko możliwe.

– Proponuję, by transmisja z tych wydarzeń była publicznie dostępna – rzekł Hadrian, w głosie zawierając wolę całego okrętu. Spojrzeniem uruchomił ekran komend na ścianie i włączył przekaz. – Wiele osób chce wiedzieć, co się tu dzieje, a z wiadomych przyczyn boją się przyjść.

– Czemu nie – stwierdził i rozłożył ręce Tasajev. – Niech wiedzą, co zrobił ich były lider. Zaczynamy więc – rzekł z radością długo wyczekiwanej chwili, groteskowo naśladowując jakiegoś telewizyjnego gospodarza. – Sante! – krzyknął i stanął przed oskarżonym, którego wątła figura tkwiła zgięta na krześle w bezruchu. – Spójrz na mnie! – rozkazał, chwytając jego szyję i szarpiąc za koszulę. – Wiesz, o co jesteś oskarżony? – zapytał zamroczone, szare jak deszczowy, jesienny poranek, oczy starca.

– Przyznaję się – powiedział Niham, ledwo wydając z siebie ludzki dźwięk.

– Co?

– Przyznaję się. Jestem winny.

– O nie, nie, nie! – zaprzeczał Tasajev. Klęknął przed nim, by uchwycić więdnący jego wzrok. – Najpierw wszyscy dowiedzą się, kim jesteś, a dopiero potem przyznasz się do winy. Nie będzie skrótów! – krzyknął, szarpiąc go do góry. – Opowiedz nam, jaki mieliście plan z Andersem. Opowiedz nam o tym, jak chciałeś zniszczyć świat, by go ratować! Słuchamy!

– Po co, oni już wiedzą.

– Wiedzą o artefakcie, coś tam o Knossos, ale zapomniałeś im powiedzieć o tym, jakimi z Andersem jesteście dobrymi przyjaciółmi! Mów! – wydarł się Tasajev i wyrwał go z krzesła, jak szmacianą lalką rzucając o ścianę.

– Zostaw go! – krzyknęła Sesana, chwytając lidera rebelii za ramię. Jego czerwienią pulsujący wzrok trafił na jej sztuczną, białą rękę, a wyszczerzone kły ociekały wścieklizną. – To nie jesteś ty – powiedziała złąkniona, nagle odepchnięta charczącym oddechem.

– Siadaj – rozkazał Tasajev opętany kłębiącą mu umysł żądzą zemsty. – Albo on cię posadzi – dodał i spojrzął na jednego ze swoich popleczników pilnujących, by skazany nie opadł bez pozwolenia na ziemię.

– To nie możesz być ty – powtarzała Sesana, szukając w nim resztek wrażliwego młodzieńca sprzed lat.

– Sesana – mruknął Niham. – To prawda, współpracowałem z Andersem przez ten cały czas.

Tasajev aż zawył z radości.

– Nareszcie! – krzyknął i podniósł ręce w geście zwycięstwa.

– O czym ty mówisz? – zapytała Sesana, zaskoczona nagłym wyznaniem więźnia. Podeszła bliżej, wyciągając do niego dłoń, ale lider rebeliantów był szybszy. Przyłgnął do oskarżonego, zamykając go w potrzasku między własną nienawiścią, filarami dwóch żołnierzy i ścianą okrętu. Sycząc z wrogością, powtarzał: – Mów, mów! Dawaj szczegóły, a może ci wybaczymy. Mów! – darł się jak opętany.

– To prawda! – Niham krzyknął w przypiływie gniewu, który zaraz prysł w powietrzu. Chciał wyznać wszystko i wyrzucić z siebie ten ciężar wiecznej tajemnicy, a okazja była doskonała. Aimeiz wspierała go cichym, acz pięknym uśmiechem, lśniąc jak diament banalną doskonałością pośród brudów przyziemnej podłogi. Niczego więcej nie potrzebował.

– Co oni ci zrobili? – próbowała zrozumieć Sesana. – Coście mu zrobili?! – krzyczała do ludzi Tasajeva i niego samego, znów szarpiąc go za ramię. – Kazaliście mu to mówić! Jesteście potworami!

– Nie, to moje słowa, moja wina – przyznawał Niham. – Tasajev mówi prawdę, przez ten cały czas byłem w kontakcie z Andersem – wyjaśnił z dłonią wyciągniętą w stronę jedynej mu jeszcze bliskiej osoby.

– Przecież byłeś z nami na Aimeiz, nie rozumiem, jak?

– Tak, wiem, ale to prawda – jeszcze raz potwierdził Niham, próbując uśmiechem dać jej znać, że wszystko w porządku. – To długa historia, ale myślę, że mogę ją dziś opowiedzieć, bo więcej nie będzie okazji – stwierdził, kierując słowa do całej sali. Nie walczył już, nie chciał. Podjął decyzję, by dziś przyznać się do zbrodni, i choć jeszcze nie powiedział słowa, to pękające ściany kłamstwa dawały mu poczucie nadchodzącej sprawiedliwości, która wkrótce oczyści go, zmyje męczeński osad i nagim przywróci do świata żywych na tę krótką chwilę przed egzekucją. – Puść mnie – agresywnie zażądał od Tasajeva. – Proszę – grzecznie dodał i wreszcie odzyskał swobodę. Poprawił koszulę, wygładził włosy, najwyraźniej planując wielkie wystąpienie. Nie śpieszył się i wręcz celowo opóźniał start opowieści, czerpiąc przyjemność ze skupionej na nim uwagi i atmosfery wyczekiwania. Już od lat nikt go nie zauważał. Pomijany, zapomniany, jak duch ignorowany, gdy wędrował korytarzami, odwiedzał restauracje, zoo i las, teraz wstrzymywał oddech mieszkańców, znów czując charyzmę lidera, pioniera, genialnego naukowca. „Śmiało” – wyczytał z ruchu warg Aimeiz i podziękował jej niezauważalnym skinieniem.

– Tak, znałem Andersa od samego początku, w zasadzie od dziecka – zaczął opowiadać, wywołując uśmiech zwycięstwa na twarzy Tasajeva. Sesana, Hadrian i usadzeni w rzędku milczący weterani z niecierpliwością słuchali historii, która wędrowała przez cały okręt, trafiając do każdego na pokładzie. – Większość z was, ci starsi na pewno, znają moją historię. Założyłem firmę Santlite, której technologiczne odkrycia zmieniły świat i przyniosły mi sławę, pieniądze, nieskończone możliwości. To było tak dawno – mówił, załamując głos.

– Do rzeczy – ponaglał Tasajev.

– Bez obaw, nie zajmę wam dużo czasu. Zresztą kiedyś byłem znany z tego, że potrafiłem dobrze opowiadać – stwierdził z błogim uśmiechem Niham, dławiąc się wodospadem wspomnień. – Prowadziła mnie wtedy ciekawość świata, mnie i Andersa, choć on zawsze wołał stać w cieniu, działać zza kurtyny. Nie dlatego, że się bał. On po prostu nie potrzebował rozgłosu, uważał, że na niego nie zasługuje. Oboje byliśmy idealistami, a dzięki nieskończonemu budżetowi mogliśmy spełniać wszelkie marzenia, które akurat oznaczały całą masę naukowych badań. Tacy byliśmy. Nie kobiety, nie gry czy samochody, a eksperymenty i wyprawy badawcze nas pociągały – opowiadał, wdychając w przerwach zdań. – Wszystko zaczęło się, gdy pewnego dnia w nasze ręce trafiła tajemnicza przesyłka – powiedział i zawiesił na chwilę głos, wyczytując zainteresowanie w twarzach zebranych w sali osób. Wszyscy słuchali, jak za dawnych lat, więc snuł swą opowieść. – W 2072 roku na pustyni w Mongolii grupa archeologów odkryła obcą technologię, pewne tablice zrobione z nieznanego nam materiału – zdradzał fakty, jak na prelekcji naukowej. – To były fascynujące przedmioty o niezwykłych właściwościach. Działały trochę jak komputery, ale nie miały żadnych części. Ale nie sama technologia była ważna, lecz wiadomość, którą te tablice przekazywały. Nazwaliśmy ją wiadomością Irnasa, bo to było pierwsze słowo, jakie rozszyfrowaliśmy: imię autora. Musieliśmy zmierzyć się z kompletnie nieznanym nam językiem. Twórca tych tablic chciał jednak, byśmy odczytali jego przesłanie, bo zostawił sporo wskazówek, i w 2112 roku złamaliśmy wreszcie kod, tuż przed Kryzysem Słonecznym. – Niham zrobił przerwę, oddając honory poległym w tym czasie ludziom. – Wtedy dowiedzieliśmy się o Knossos, jakiejś obcej rasie, maszynach, które były tak zaawansowane, że nazywając je w ten sposób, obrażam ich, ale nawet Irnas nie potrafił powiedzieć, kim lub czym są. Zdradził nam natomiast, że Knossos kontrolują Ziemię, i to od wielu lat, realizując ewolucyjne cykle, jak to nazwał, i resetując je co jakiś czas. To oni zniszczyli Słońce, a wszystko po to, by nie pozwolić nam osiągnąć zbyt wysokiego poziomu rozwoju – mówił coraz pewniej, głośniejszym głosem, napędzając się przeżywanymi na nowo

odkryciami. – Nie byliśmy w stanie odczytać całej wiadomości, ale podejrzewaliśmy z Andersem, że Knossos resetowali ludzkość już co najmniej kilka razy, cofając nas do cywilizacyjnych podstaw zawsze na nowej planecie. Po co? – rzucił do ogółu sali, wiedząc, że nikt nie będzie potrafił mu odpowiedzieć. Wzmocniony chwilową wyższością kontynuował. – Ustaliliśmy z Andersem, choć to tylko domysły, że oni mają jeden cel: rozwój, a my jesteśmy dla nich źródłem pomysłów. W pewnym sensie ich zmechanizowana perfekcja jest wadą, ograniczeniem, bo blokuje to, co mają ludzie i natura. W naszym rozwoju, ewolucji i kreatywności szukają rozwiązań dla siebie. Słowem Ziemia to wielkie laboratorium, które co pewien czas Knossos muszą resetować, by zmieniać nam środowisko i uniemożliwić wyrwanie się spod ich kontroli – zdradził i po chwili dodał: – To było nasze odkrycie. – W ten sposób zamknął pierwszą część opowieści w rozsądnej klamrze.

– I wpadliście na świetny plan, by wszystko zniszczyć! – krzyknął Tasajev, rozsierdzony utraconym impetem procesu.

– Tak! – odpowiedział porównywalnym wybuchem emocji Niham. – Zniszczyć, zdeptać, zdławić wszelką kreatywność, wolność, wiarę! – wymieniał i niczym dyrygent akcentował każde słowo. Zaraz potem załamał głos i pobladł. – To była jedyna opcja – wykrztusił z desperacją, powracając myślami do dnia, gdy zapadła ta okrutna dla świata decyzja. – Nie widzieliśmy ich, nie mogliśmy ich namierzyć. To był wróg nietykalny, poza zasięgiem wszelkiej nam znanej broni – tłumaczył, wpatrzony z żalem w swoje dłonie, jak w narzędzia obrzydliwej zbrodni. – Nie mogliśmy nikomu ujawnić tej informacji, zresztą nic by to nie dało, i dlatego podjęliśmy wtedy decyzję, wspólnie – mówił, kierując się w stronę Sesany powalonej na kolana wyznaniem człowieka, którego uważała za przyjaciela, którego broniła, a który ją okłamał. – Ja i Anders wspólnie podjęliśmy decyzję – powtórzył głośniejszym głosem, wbijając w jej pierś zdradą zatrutą włócznią – by zniszczyć wszystko to, na czym Knossos zależało.

– Czy wyście oszaleli? – wtrącił Hadrian, do tej pory tylko słuchając.

– Ziemia i tak zostałaby zniszczona! – przekonywał Niham, czując na skórze chłód bryzy nadchodzącej fali oskarżeń. – Taki był cel Knossos. Zniszczyć wszystko, by zacząć od nowa, więc to był idealny moment, by zrealizować nasz plan! Nie rozumiecie?! Słońce zdewastowało planetę, a Wielki Plan, który czy z Andersem, czy nie, musiał być zrealizowany, zgładził naukę, swobody, kreatywność, wszystko to, czego Knossos pożąдали! – krzyczał w nadziei, że głośniejsze wypowiedziane słowa zabrzmiały bardziej rozsądnie. – Jedyne, co musieliśmy zrobić, to zdobyć władzę absolutną. Tak głosiła wiadomość Irnasa. Gdyby Knossos zobaczyli zdziesiątkowaną i zdławioną ludzkość w siedzibach władzy, która nie pozwala na żaden rozwój, zostawiliby nasze okręty w spokoju. Pozwoliliby nam odlecieć, a wtedy, a wtedy...

– A wtedy moglibyście robić z ludzkością, co chcecie – z obrzydzeniem dokończył Tasajev. – Czyli zrobiliście to dla władzy – rzucił oskarżeniem, gotowy ogłosić wyrok.

Niham szeroko otworzył usta, ale nie miał już słów na swoją obronę, więc tylko łzami skruchy próbował ukoić wzbierający gniew ławy oskarżycieli.

– Pomagałeś mu? – zapytała Sesana, wciąż siedząc na podłodze, zdruzgotana i zdradzona.

– Andersowi? Tak, nie, trochę – gubił wątek Niham. – To on zorganizował całość. Ja mu tylko przekazałem władzę w firmie, a potem, a potem... on sam, chociaż pomysł z mundurami i tym programem, ja nie chciałem, ale on...

– Wiesz, co przeżyłam na Ziemi? – wtrąciła Sesana aksamitnie subtelnym głosem, który jak odłamki szkła wbijał się w gołe ciało jej dawnego partnera. – Wiesz, jaki koszmar spotkał mnie i mojego brata? Wiesz, jaki głód, zbrodnie, łajdactwo... – próbowała wymieniać, ale nie potrafiła znaleźć odpowiednio nasyconych okrucieństwem słów. – Nie mogę uwierzyć, że ty to wszystko zaplanowałaś – dodała i opuściła wzrok, odmawiając Nihamowi wybaczenia.

– Pozwoliłeś mu zgładzić świat – stwierdził Tasajev głosem najwyższego wymiaru kary – i nie mówię o Wielkim Planie, a o masowych mordach pracowników! – krzyknął, wywołując nagłe poruszenie. – Mówiłeś im o tym? – szyderczo zapytał, podchodząc do wbitego w ścianę wyklętego złooczyńcy. – Nie wspomniłeś nic na temat obozów transferowych, w których likwidowaliście małe dzieci? Jak to?

– Nie! – krzyknął Niham, zalewając łzami twarz. – To nie ja! To nie ja! – zarzekał się, ale nikt mu już nie wierzył.

– Jakie dzieci? – zapytała Sesana, zaciskając w pięść białą protezę.

– Nie mówił ci, że eliminowali masowo pracowników hal? Zabijali ich milionami, a wszystko zgodnie z wytycznymi nadzorczyń! – krzyczał Tasajev, szaleństwem bestii miotany po całej sali, palcem jak z broni wytykając Nihama. – A nadzorczynią była córka Lumen Sereday! To wszystko było zaplanowane! – ciskał oskarżeniami, niczym kamieniami, prosto w twarz znenawidzonego mężczyzny.

– Lumen? Masowo zaplanowane? – Sesana próbowała zbudować sensowne zdanie, ale ciężar prawdy miażdżył jej płuca, nie pozwalając złapać oddechu. – Zabijałeś dla niej dzieci? – zapytała i wyrosła przed

nim, zasłaniając mu cały świat. – Dzieci? Dla niej? – powtórzyła z niedowierzaniem. – A Lilę? – dodała, wtulona w niego morderczym spojrzeniem.

– Nie! Nie! Nie! – ryknął Niham i niemal nie udusił się własnym językiem, gdy biała, zaciśnięta pięść uderzyła w ścianę tuż obok jego głowy. Impet ciosu wprawił materiał statku w głośne drgania.

– Zabiłeś Lilę?

– Nie!

– Wszystko mogłabym ci wybaczyć – wyznała mu prosto w twarz Sesana – ale nie jej śmierci – stwierdziła z lodowatą pewnością i opuściła sztuczną dłoń. Odeszła, symbolicznie odwracając się do niego plecami.

– Nieprawda! Nieprawda! Nieprawda... – walczył Niham, ale jego słowa niknęły gdzieś w środku sali.

– Pozwoliłeś mu zniszczyć świat, zgładzić miliony ludzi – oskarżał Tasajev – a sam uciekłeś na Aimeiz. Do tego wysłałeś mnie na Ziemię, żebym szukał dla ciebie artefaktu, szpiegował Onstroma, a potem pozwoliłeś Andersowi, by zabijał nas jak bezpańskie psy.

– Nie! On miał was nie ruszać, miał pozwolić ci wysłać okręty z Ziemi, dlatego przez tyle lat udawało się ratować największe umysły, bo taki był plan! – przekonywał ochrypłym już głosem Niham. – To była moja część planu. Zebrać najwybitniejsze postacie, odtworzyć ludzkość na pokładzie Aimeiz i zdobyć kontrolę, by powrócić i walczyć z nimi, z Knossos. Mieliśmy nadzieję, że dzięki Aimeiz ludzie będą w stanie się obronić!

– A kiedy okazało się, że nie masz władzy nad okrętem, po prostu o nas zapomniałeś.

– Nie, nie. Anders nie kontrolował już DARPA, nie był w stanie powstrzymać tej maszyny. Nie mógł, nie miał jak, nie mogliśmy przecież zdradzić, że... – Niham przerwał, bo spowilo go wrażenie, że przekroczył granicę innego wymiaru. Wrota alternatywnej czasoprzestrzeni blokowały sygnały i jak lustro weneckie pozwalały mu obserwować, co się dzieje po drugiej stronie pokoju, ale już w to nie ingerować. – Chciałem, by ludzkość trwała i rosła, by zdobywała odległe światy – mówił, zebrząc spojrzeniem o odrobinę uwagi. – Chciałem, by ludzie mogli odkrywać tajemnice kosmosu, szukać odpowiedzi, znaczenia, kontrolować gwiazdy, przemierzać horyzont zdarzeń. Chciałem pozwolić ludzkości ewoluować – mówił coraz wolniej, mniej wyraźnie, mamrocząc i gubiąc słowa w ciszy niewypowiedzianego, ale zatwierdzonego już wyroku.

Tasajev, znudzony rozległą rozprawą, wbił spojrzenie w sufit. Sesana stała wpatrzona w kąt, drapiąc ścianę przezroczystymi palcami protezy. Hadrian tkwił przy drzwiach, nie ukrywając pragnienia, by jak najszybciej zakończyć tę farsę, a reakcji mieszkańców okrętu Niham mógł się jedynie domyślać. W końcu sali, obok wciąż neutralnej Aimeiz, siedziała Wilsta Rebenaum, według czasu ziemskiego sześćdziesięcioczworoletnia polityk i humanista. Wyglądała jednak o dziesięć lat młodziej, jak wszyscy, którzy większą część życia spędzili na pokładzie okrętu. Teraz, kiedy nikt nie miał już nic do powiedzenia, poczuła, że pora dołączyć do oskarżeń. – Wiedziałeś o tym od samego początku, ale nam nie powiedziałeś – stwierdziła, jak zwykle chłodnym nauczycielskim głosem.

– Nie mogłem, nie wiedziałem, komu mogę ufać – odparł Niham, jak pies wniebowzięty otrzymaną uwagą. Jeszcze mógł się bronić, jeszcze była szansa, by zginąć z honorem.

– To nieważne – obojętnie stwierdziła kobieta. – To, co mnie przeraża, to rozmiar tego kłamstwa. Wszystkie nasze dyskusje o Ziemi, o naszej społeczności, cała praca naukowa nad artefaktem, zachowaniem Słońca i przede wszystkim decyzje, to było jedno wielkie kłamstwo.

– To prawda, ale... – zdążył wtrącić Niham, zanim znów utracił głos.

– To kłamstwo podważa całą naszą pracę! – powiedziała Wilsta, ujawniając stonowany, ale zabójczy gniew. – A co z tymi wszystkimi klęskami, wydarzeniami, problemami, które napotykałyśmy przez lata podróży? Ile z nich wywołałeś? Ilu mógłbyś zapobiec, gdybyś mówił prawdę? Wielki wybuch sprzed ośmiu lat, co miałeś z nim wspólnego? Te ataki maszyn, masowe zniknięcia, te dziwaczne potwory, które spotykaliśmy! Ile osób przez ciebie zginęło?! – uderzała oskarżeniami jak młotem, miażdżąc ostatnie łupiny woli Nihama do walki.

– Właśnie – powiedział Tasajev, dołączając do tortur. – Ilu ludzi zabiłeś, ty i twój plan? – zapytał, stając nad skulonym, wysuszonym, zwiędłym ciałem oskarżonego. – Nie wiesz? Pomogę ci, tylko w masowych mordach na robotnikach od 2146 roku zginęło trzydzieści, może czterdzieści milionów osób. Nie próżnowaliście przez te parę lat, a wiesz, skąd mam te liczby? – zapytał, szukając jego wzroku. – W nasze ręce trafiły dokumenty Sereday.

– Nie wiedziałem o tym... Anders mi nie powiedział... ja tego nie akceptowałem – łkał słowami Niham, próbując wyprosić przebaczenie.

– Oczywiście, że nie, a wiesz, ilu moich ludzi, tylko moich, DARPA zabiła przez te wszystkie lata? Z tysiąc będzie. A ilu torturowała?

– Oni działali samodzielnie, wbrew rozkazom Andersa. Mówiłem już, że plan był taki, by cię nie ruszać.

– Oczywiście, a myślisz, że przez kogo zabiła się Lumen? – Tasajev wbijał głębiej ostrze w miękkie podbrzusze swojej ofiary. – A jak skończyła jej córka, wiesz? Ja tylko słyszałem plotki – mówił, ziewając mu w twarz stęchlizną od lat niemytych zębów.

Niham już tylko płakał bezgłośnie, roniąc krwawe łzy wstydu, rozpacz i żalu, z utęsknieniem wyczekując werdyktu, kary i końca. Marzył o spokoju, tym wiecznym, bez strachu kolejnego poranka, w ciszy nieustającej harmonii.

– Gorad! – zawołała Sesana, gotowa zadać mu ostatni cios. – Zabiłeś Gorada. Zabiłeś go, bo znał prawdę o tobie i Andersie! Okłamałeś mnie! – krzyknęła i chwyciła go za dłonie, którymi próbował zakryć rozprutą emocjami twarz.

– Tak! Tak! – Niham przyznawał się całej sali, chcąc ich przekonać do okrutnej swej zbrodni. – To ja go zabiłem, bo poznał prawdę. Bałem się, że ją zdradzi wszystkim! Ja go zabiłem własnymi rękami! – mówił pokazując dłonie, jakby wciąż była na nich krew. – Tymi rękami! – przyznawał, szaleństwem opętany i gotowy sam sobie wymierzyć sprawiedliwość i wypruć żyły zębami.

Sesana spojrzała na niego wzrokiem kata, a usta ułożyła w zdanie, którego nikt nie usłyszał. Potem podniosła otwartą dłoń, uderzyła go w twarz i wyszła z sali, nie patrząc za siebie.

– Wystarczy! – krzyknął Tasajev, zadowolony z przebiegu procesu. – Sante! Za współudział w masowym mordzie i spiskowanie przeciwko ludzkości skazuję cię na śmierć przez rozstrzelanie! – z satysfakcją oznajmił i rozkazał gestem zabrać mu go z oczu. Dwójka niecierpliwych żołnierzy chwyciła Nihama pod ramiona, unosząc jego lekkie jak wydmuszka ciało w powietrze.

– Stop! – krzyknął Hadrian. – To zbrodniarz, udowodniłeś to, ale na Aimeiz nie uznajemy kary śmierci.

– To dziś zaczniecie – krótko odparował Tasajev i wyciągnął z kabury pistolet.

– Chcesz, byśmy się pozabijali? – zapytał lider Aimeiz, podnosząc w obronnym geście dłonie, jakby miał nadzieję zatrzymać nimi kule. Sam nie posiadał broni, bo nawet nie potrafił jej obsługiwać.

– Zamierzam zrobić tu porządek.

– Mordując ludzi? Kto będzie następny?

– Może ty? – zapytał Tasajev, pokazując poźółkłe kły. – Jest nas więcej, a na zewnątrz aż roi się od moich ludzi. Poddasz się albo stąd nie wyjdiesz.

– Tak bardzo zależy ci na władzy?

– Nie chcę władzy, chcę sprawiedliwości. Wyrok Nihama to pierwszy krok w tym kierunku. Drugim będzie osądzenie wszystkich, którzy uciekli z Ziemi.

– I kto będzie sędzią?!

– Ja.

– Oszalałeś! – krzyknął Hadrian i zwrócił się do Aimeiz, która cicho siedziała w końcu sali, zgodnie z obietnicą tylko obserwując. – Nie możesz mu na to pozwolić! – zawołał, oczekując od dziewczyny jakiegokolwiek reakcji.

– Przepraszam – powiedziała Aimeiz. – Obiecałam wam, że nie będę ingerować w życie społeczności.

– Ale on chce nas wszystkich pozabijać!

– To moja wina – stwierdziła dziewczyna, wciąż niewzruszona. – Przeze mnie staliście się słabi, rozpieszczeni, bezbroni – wymieniała, a jej delikatny głos utonął w zwierzęcym śmiechu Tasajeva.

– Dziewczyna nareszcie gada do rzeczy! – rzekł lider rebeliantów i nagle zmienił ton. – Każ im rzucić broń – zażądał, szczerząc groźnie kły.

Hadrian rozejrzał się po sali pełnej skierowanych ku niemu karabinów i zatrzymał oczy na pistolecie Tasajeva, który mierzył mu prosto w pierś. – Nie – powiedział, czując palący żar niepołkniętej dumy w gardle.

– My też przylecieliśmy z Ziemi – dodał jeden z jego ludzi – i wcale z niej nie uciekliśmy, więc pierdol się.

– Co wy robicie?! – zapiszczała Wilsta i wstała z krzesła. – Rzućcie broń! – poprosiła.

– Nie? – z radością przyjął decyzję Tasajev i bez ostrzeżenia nacisnął spust, rozpoczynając kanonadę wystrzałów.

Chwilę później sześć martwych ciał leżało na ziemi, w tym czterech ochroniarzy i dwóch rebeliantów, zaś Hadrian wciąż stał osłonięty wiszącą w powietrzu białą, rycerską tarczą z herbem różowego misia. To od niej odbiły się wszystkie wymierzone w niego kule.

– Aimeiz! – ryknął z wściekłością Tasajev.

– To nie ja – stwierdziła dziewczyna, spoglądając na ciała martwych mężczyzn, których krew zalewała podłogę okrętu. – To Miriam – dodała, wstała i wyszła, zostawiając w czerwieni ślady swoich bosych stóp.

– Kto?

– Miriam, moja córka – rzekł Hadrian i podniósł ręce do góry. – Poddaję się – powiedział i chwilę musiał

poczekać na zszokowanych doświadczoną anomalią ludzi Tasajewa, zanim powalili go na ziemię, zanurzając twarzą w krwi zabitych przyjaciół.

– Zamknijcie go – rozkazał Tasajev – i ją też – dodał, spoglądając na schowaną za przejrzystym krzesłem Wilstę. Potem wskazał palcem Nihama i szczerząc zęby powiedział: – A jego bierzemy do lasu.

Przed bramą hali lasu na rebeliantów czekało kilkadziesiąt osób, głównie starszych, urodzonych na Ziemi, uzbrojonych we własne zdanie na temat zapowiedzianej egzekucji i uwięzienia ich lidera. W okolicy, tam gdzie rozgałęziały się korytarze, tkwili postronni obserwatorzy, ciekawi nadchodzącej konfrontacji.

– Idą! – zawołała jakaś dziewczyna i wskoczyła do magazynu ogrodniczego, znikając z oczu rytmicznie maszerującym żołnierzom. Między nimi plątał stopy Niham, szarpany na wszystkie strony i poniewierany dla zabawy przez rozbawionych mężczyzn. Prowadzili go do bramy lasu, gdzie kolumna stanęła przed zbitą masą mieszkańców.

Tasajev podziwiał ich odwagę, by bez broni, przygotowania i planu walczyć z doświadczonymi w boju rebeliantami.

– I to mi się podoba! – zawołał, wychodząc im naprzeciw. – Wreszcie urosły wam jaja, żeby się postawić! Szkoda tylko, że na Ziemi tego nie zrobiliście.

– Uwolnij Hadriana – zażądał Nilson Olganic, reprezentując zebranych za nim ludzi. Miał trzydzieści osiem lat i pamiętał Tasajewa, jak jeszcze był niegroźnym filozofem nieba, którego kochała Sesana. Kiedyś mu zazdrościł, teraz go nienawidził.

– Bo co? – zapytał lider rebeliantów, rozbawiony żądaniami grupki nieuzbrojonych cywilów.

– On jest naszym liderem, wybranym i uznanym. Nie masz prawa go więzić.

– Wy nie mieliście prawa uciekać z Ziemi.

– Wypuść go.

– Nilson, dobrze pamiętam? – zapytał Tasajev, odkurzając w pamięci postać nastolatka, który dawno temu irytował go do niemożności. – Kathrina Olganic była twoją matką, tak? Dawno temu czytałem jej książki. Nawet mnie fascynowały, przez chwilę, jak byłem młody i głupi, ale potem dowiedziałem się, kim tak naprawdę była. Wiesz, kim była?

– Chcesz mieszać do tego moją matkę?

– Powiem ci, kim była, zdrażczynią – powiedział Tasajev i stanął przed nim na odległość dłoni. – Podobno zginęła w jakimś zamachu – przypomniał sobie, grzebiąc palcem w zębach. – I taki właśnie los powinien spotykać zdrajców.

– Ty skurwielu – zaklął Nilson, a potem upadł powalony ciosem metalowej rękojeści w głowę.

– Ktoś jeszcze chce blokować mi przejście? – zapytał lider z pistoletem wycelowanym w tłum stojących pod bramą ludzi. Jak woda wszyscy rozlali się po ścianach i podłodze, próbując zejść z linii strzału. – Tak myślałem – dodał i wprowadził kolumnę do lasu. – Tam! – zawołał, wskazując zieloną polanę, gdzie z reguły dzieci miały swoje zajęcia. Na rozkaz żołnierze chwycili Nihama pod pachy i zaciągnęli go we wskazane miejsce, najpierw rzucając na ziemię jak worek, a potem podnosząc na kolana i przytrzymując, by nie upadł.

– Tu zginiesz – zdecydował Tasajev, poklepał skazanego po ramieniu z uśmiechem udawanego współczucia i wymierzył kilkanaście kroków w prostej linii, by określić miejsce dla plutonu egzekucyjnego. Tam ustawił pięciu swoich najlepszych strzelców, każdemu spojrzął w oczy, by mieć pewność, że nikt go nie zawiedzie, i stanął z boku. – Ostatnie słowa? – zawołał do Nihama, ale ten milczał. – W takim razie kończymy to przedstawienie – stwierdził i podniósł rękę do góry.

Przy ścianie hali całe zamieszanie obserwowała grupka przypadkowych gapiów, a wśród nich było wielu młodych mieszkańców, którzy nigdy nie widzieli egzekucji. Teraz tak jak na kolejnych szkolnych zajęciach, z uwagą śledzili wydarzenia, próbując nauczyć się czegoś nowego. Śmierć miała dla nich mgliste znaczenie, niewiele jej doświadczyli, bo przychodziła głównie po najstarszych i to we śnie, sprawiając, że ci po prostu znikali. Dziś, dla odmiany, mogli zobaczyć w jednej chwili gaszone życie, rozlane krwią i rozproszone odgłosem wystrzałów broni, której nigdy wcześniej nie widzieli.

Dłoń Tasajewa zawisła w powietrzu, a on sam miał ochotę coś jeszcze powiedzieć, rzucić w twarz Nihama oskarżeniami, wydusić z niego zeznania, upokorzyć, ale było już za późno. Trochę zawiedziony tak banalnym zakończeniem, z niedosytem i rozczarowaniem opuścił rękę. Żołnierze wypalili niemalże jednocześnie, ale iskry wystrzałów nie rozprysły się jak zazwyczaj, tylko zatrzymały w miejscu, przyspawane do luf karabinów, a wyrzucone bronią pociski zawisły w powietrzu trzymane niewidzialną siłą. Narastający grymas zadowolenia na twarzy Tasajewa zastygł na wieczność, jak w woskowej figurze. Światło zgasło, otulając wszystko czernią.

Jedynie Niham, otoczony niewielką blasku kopułą, niczym namiotem na spowitej nocy pustyni, drżał na myśl o zbliżającym się końcu świata. Przed nim stała Aimeiz, wpatrzona w ten niegodny widok ze

zmartwieniem w oczach.

– Oj Nihamie, Nihamie – wdychała nad klęczącą skorupą człowieka.

Przygnieciony niepostrzeżalnym ciężarem, zarośnięty, brudny, z wysepką błyszczącej skóry na głowie, były lider okrętu nie miał już w sobie nic z wielkiego odkrywcy, naukowca, przywódcy. Jego oczy dawno zgubiły kolor. Szare i mgliste, obie źrenice identyczne, blednącą monochromią odliczały mu ostatnie chwile życia. Posiniaczony, wychudzony, z twarzą bezdomnego starca spojrział na boscę, zatopione w trawie, białe stopy dziewczyny i podniósł wzrok.

– Aimeiz! – zawołał, śmiejąc się i płacząc, cierpiąc katusze pragnienia jej piękna i swobody.

– Zmąciłeś błękit swego oka – powiedziała pani wiecznej wiosny, ubrana w suknię białą jak światło gwiazd i jak marmur prostą.

– Czy umarłem? – zapytał drżącym głosem Niham, klęcząc przed nią niczym na ołtarzu.

– A skąd – ze śmiechem odparła Aimeiz. – Żyjesz, choć decyzja już zapadła.

– Jak to zrobiłaś? Gdzie jesteśmy? To jakiś inny wymiar?

– To tylko prosta sztuczka. Zabrałam otoczeniu trochę energii.

– Masz takie możliwości? Potrafisz zatrzymać czas?! – Niham zadawał pytania jedno po drugim, ciekawy jak dziecko nowej sytuacji. Palcami trzymając się soczystej trawy, spoglądał na otaczającą go otchłań i szukał w archiwum rozsądku wytłumaczenia dla tej czarnej nad sobą kopuły.

– Czas nie istnieje, przecież wiesz – tłumaczyła dziewczyna, odtwarzając swoją ulubioną rolę nauczycielki.

– Tak, tak, wiem – przyznał Niham, ciężko wdychając smutkiem. – Oni będą tego świadomi? – zapytał i na nowo się w niej zakochał, gdy z bezgrzeszną radością pokręciła przecząco głową. – Jesteś niesamowita, wspaniała! Milion razy od nas mądrzejsza.

– Ciut więcej.

– A masz tak przyziemne poczucie humoru.

– Dziękuję! – zawołała Aimeiz, dumna z otrzymanej pochwały. Na uprzejmość odpowiedziała ukłonem księżniczki.

– Wcale nie jesteś komputerem, prawda? – zapytał Niham, klęcząc u stóp swego bóstwa.

Dziewczyna jeszcze raz pokręciła przecząco głową i pochyliła się nad skazańcem, dając mu ukojenie w cieniu swoich znów długich włosów.

– Powiem ci w sekrecie – dla zabawy szeptała – ten sześcian w sali komputerowej to był taki mały żart.

– Jak lecznicze właściwości artefaktu?

– Nie, nie. Z tego to sami zrobiliście niezły skecz.

– Skecz! – powtórzył Niham i parsknął śmiechem, mieszając łyzy szczęścia i smutku. Znów westchnął, a potem zmasował z twarzy rozklejenie, zostawiając odrobinę żalu.

– Chciałbyś, żebym ci pomogła? – zapytała Aimeiz.

– A zrobiłabyś to?

– Mogłabym zapisać cię w okręcie, tak jak Elię.

– Elia – Niham powtórzył imię tej wspaniałej dziewczyny, roniąc dwie szklane krople łez. – Nie musisz mnie ratować. Nie chcę już żyć. Jestem zmęczony tym wszystkim. Pozwól mi odejść – poprosił, krztusząc się pragnieniem, by powrócić do łona nicości.

Aimeiz opadła zwiewnie na kolana, a jej suknia, jak liść na wietrze, sfrunęła za nią i zawisła na żdźbłach trawy. Teraz mogła mu spojrzeć wprost w zalane smutkiem oczy.

– W takim razie to pożegnanie – powiedziała z jasnym uśmiechem na twarzy.

– Mam prośbę – rzekł Niham, wsiąknięty w dwa bursztynowe źrenice dziewczyny. – Czy mogłabyś sprawić, że będę ostatnią ofiarą tego konfliktu? To wszystko przeze mnie! To moja wina, po mnie już nikt nie musi zginąć!

– Przecież wiesz, że nie mogę ingerować w wasz rozwój.

– Ale ten jeden raz, ja oddam za to życie!

– Myślisz, że to okropne – syczała ze smutkiem słowa Aimeiz. – Nie możesz pojąć, dlaczego, choć mam taką ogromną władzę, nie chcę wam pomóc. Nienawidzisz mnie, bo pozwoliłam im dziś zabić sześć osób, a przecież mogłabym ich wszystkich ocalić jednym skinieniem. Jesteś na mnie zły? – zapytała, chwytając dłońmi jego szorstkie zarostem policzki.

– Tak – dziecinnie wymamrotał Niham z płaczem w głosie i gniewem w oczach, a potem uciekł spojrzeniem, by ukryć zawstydzenie.

– Masz rację, jestem okrutna – przyznała dziewczyna, czytając jego myśli. – Spójrz na mnie – poprosiła.

– Oni cię potrzebują – błagał Niham, rozpluwając się w ciepłe jej litościwych dłoni.

– Właśnie dlatego, że mnie potrzebują, nie mogę nic zrobić. Uzależnili się ode mnie i od dobrobytu, który

daje im okręt. Pamiętasz pierwsze lata, kiedy zmagaliście się codziennie z innymi problemami? Trud, praca i niepewność budziły was do życia. Każdy dzień był walką, po której zasypialiście z uśmiechami na zmęczonych twarzach. To było piękne, to w was podziwiałam! – śpiewnie opowiadała Aimeiz. – A teraz? – dodała, nagle markotniejąc i opuszczając dłonie. – Jedyne problemy to spory o edukację czy te z Amadystami, a wszystkie rozstrzygane w Panelu. Wasza iskra zanikła, straciliście ogień, i choć tego nie widzicie, powoli się starzejecie. Jesteście jak las, który przerośnięty zaczyna umierać od gruntu – cytowała dobrze znane mu słowa.

– Potrzebujemy pożaru, który spali stare drzewa i pozwoli powstać nowym – dokończył myśl Niham, przypominając sobie dawno temu czytane bloga, z którego przytoczona przez nią alegoria wyjątkowo mu się spodobała. – Masz rację, tak – dodał, jak dawniej rozgrzany do dyskusji. – To prawda, ale Tasajev jest nieprzewidywalny, one może zabijać niewinnych!

– Może robić, co zechce, i będzie to robił, dopóki ktoś go nie powstrzyma.

– Ale kto?! – krzyknął Niham. – Hadrian będzie następny klęczał na tej trawie, a po nim każdy, kto pisnie złe słowo. Tasajev nie spocznie, dopóki nie zaspokoi swojej zemsty! – zaprotestował i rwał się do walki, zapominając, że klęczy pod lufami karabinów na ułamek sekundy przed własną śmiercią.

– Nie doceniasz woli walki mieszkańców – przekonywała Aimeiz, jak on, uradowana żywą rozmową. – Tli się w nich ogień, który wcześniej czy później zapłonie na nowo. Wiem, że boisz się o społeczność, którą tyle lat budowałeś, ale po tym kryzysie będą silniejsi i zjednani. Hadrian to wspaniały lider, wciąż młody i niedoświadczony, ale inteligentny. Nie wie jeszcze, jak ogromny potencjał kryje się w młodym pokoleniu, ale gdy tylko zrozumie, że nie jest sam, będzie miał w rękach najpotężniejszą z broni.

– Jeśli wcześniej nie zginie. Dziś mało brakowało.

– Tak, popełnił poważny błąd i doprowadził do zbrojnej konfrontacji, w której kilka osób straciło życie. Każdy, kto bierze do ręki broń, musi być gotowy od niej zginąć.

– Tylko ci, którzy gotowi są w każdej chwili oddać życie, mogą zabijać – odpowiedział cytatem Niham. Rozumiał już, że Aimeiz posługuje się słowami wyciągniętymi z otchłani jego własnych wspomnień. – Miriam nic nie grozi? Po tym, co dziś zrobiła, Tasajev może chcieć ją skrzywdzić.

– Bez obaw, dzieci są bezpieczne. W końcu powierzyliście mi je w opiekę – z uśmiechem odparła Aimeiz. – Mam to w swoim kontrakcie o pracę – dodała oczywistym żartem.

– Jestem idiotą – stwierdził Niham, masując zmęczone skronie. – Rozmawiasz ze mną jak z partnerem, a przecież ja przy tobie to jak pies przy człowieku.

– Raczej jak pantofelek przy człowieku – z czystym szyderstwem poprawiła go Aimeiz i oboje się roześmiali niczym starzy, dobrzy przyjaciele.

– Zaopiekujesz się Roto? Nie wiem, co z nim zrobili.

– Jest zdrowy i szczęśliwy – zapewniła dziewczyna. – Hasa sobie właśnie po ogrodach.

– Dziękuję – rzekł Niham, z całego serca jej za wszystko wdzięczny, i poczuł, jak do oczu znów napływają mu łzy, kolejne łzy, ostatnie łzy, ale żywe, ludzkie, świadczące o wciąż gdzieś na dnie rozczarowania lśniącej i czystej duszy. Świadomy swego końca, wytężał wzrok, by nasycić umysł pięknem dziewczyny skupiającej esencję wspaniałości wszechświata. Chlipał coraz głośniejsz, przeplatając z płaczem udręczony śmiech. – Powiedz mi, proszę, czy te wizje, które kiedyś miałem, czy te obrazy zniszczonych miast, które śniły mi się po nocach, to przyszłość ludzkości? Czy ja za to odpowiadam? Czy to moja wina?! Błagam powiedz mi! – krzyczał, pragnąc prawdy bardziej niż powietrza.

– To nie twoja wina. Te wizje to nie przyszłość – Aimeiz zdradzała, oferując mu spokój swego płynnego oddechu. – To przeszłość.

– Ale...

– Ale czy to teraz ważne?

– Rozumiem, tak, znów masz rację – przyznał Niham, a jego policzki spłynęły wodą. – A Lila? Czy ja ją zabiłem? Czy Sesana miała rację? Czy...

– Nie, nie zrobiłaś jej żadnej krzywdy.

– Dziękuję – jęknął Niham i opadł z sił. W milczeniu z łapczywością przelykał gorzkie ukojenie, jak skrawek chleba litościwie mu pod nogi rzucony, a gdy skończył swą ucztę, zapytał: – Myślisz, że moja śmierć wystarczy, by Lumen mi wybaczyła?

– Myślę, że ona nigdy nie miała ci nic za złe.

– Ale ja odebrałem jej córkę, zniszczyłem jej życie.

– Ona też miała swoje grzechy na sumieniu – zdradziła Aimeiz.

– Nie chcę wiedzieć! Nie mów mi! – krzyknął Niham i zatrząsł się złęczony, powoli tracąc panowanie nad własnym ciałem. – Nie mów mi, proszę – powtórzył. – Ona była idealna, ja ją kochałem.

– Tak, wiem.

– To już za chwilę, prawda? – zapytał Niham, oddychając coraz płycej i szybciej. – Powiedz mi, czy śmierć zabierze te okropne, dręczące mnie uczucia? Zabierze je wszystkie, tak? Powiedz mi proszę, nie zostawiaj mnie w mroku.

– Tak. Śmierć zabiera wszystko, a w zamian daje absolutny spokój.

– To dlaczego tak bardzo się boję? – próbował zrozumieć Niham, rozsypując się przed dziewczyną, niczym nabrzeżna skała, która przez dekady podmywana falami strachu, w końcu skruszona pada w morskie objęcia, by utonąć w zapomnieniu. Miał wrażenie, jakby ktoś wywrócił jego skórę na drugą stronę, odsłaniając wszystkie nerwy na mróz najokrutniejszej z zim.

– Strach to takie piękne uczucie – powiedziała Aimeiz, chwytając jego roztrzęsione w powietrzu dłonie. – Oddychaj – poprosiła i razem z nim nabrała powietrza.

– Czy będzie bolało? – zaskomlił Niham, próbując naśladować jej długie i spokojne oddechy, ponieważ paraliżującymi zmysły skurczami mięśni. Wpatrzony w dziewczynę, jak w matkę świata, przewodnika w ciemności i przyjaciela w samotności, wyczekiwał olśnienia, pragnął ukojenia, mądrości, dotyku, miłości, wszystkiego naraz w śmiertelnych dawkach.

– Nie – odparła Aimeiz i znów złożyła mu na policzkach dłonie. – Nie bój się, będę cały czas przy tobie do samego końca – obiecała i z namiętnością kochanki pocałowała Nihama, tak jak ona drapieźnie. Tym samym spełniła ostatnie marzenie skazańca. – Gotowy? – zapytała, rozplątując ich wargi, i uśmiechnęła się, widząc błogie w nim rozkojarzenie. Dłonią delikatnie przesunęła mu jeszcze odrobinę skroń, jak gdyby ustawiała go do ostatniego zdjęcia. – Teraz jest idealnie – powiedziała, a światło na powrót wypełniło las, pozwalając spłoszonym ptakom zerwać się do lotu, a srebrnej kuli przesyć czaszkę Nihama i rozpylić jego miękki mózg na zielonej soczystej trawie.